

Stefania Jagielnicka-Kamieniecka

Więcej niż szczęście



Stefania Jagielnicka-Kamieniecka

Więcej niż szczęście

Stefania
Jagielnicka-Kamieniecka

**Więcej niż
szczęście**



PSYCHOSKOK
Konin, 2013

Stefania Jagielnicka-Kamieniecka
„Więcej niż szczęście”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2013
Copyright © by Stefania Jagielnicka-Kamieniecka, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie okładki © pinchuk – Fotolia.com
Zdjęcie okładki © Jim O’Connor – sxc.hu
Mapa świata EPS – Domena Publiczna

ISBN: 978-83-7900-003-6

Wydawnictwo Psychoskok
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom.665-955-131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

ROZDZIAŁ 1

– Proszę włożyć płaszcz, pojedzie pani z nami na Komendę – rzekł porucznik Biedroń tonem nieznoszącym sprzeciwu, chowając do aktówki feralny dokument.

Oniemiała z przerażenia Teresa poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Usiadła bezradnie na wersalce i szeroko otwartymi oczyma patrzyła jak dwaj inni mężczyźni zdzierają ze ściany pamiątkowy plakat pierwszego zjazdu „Solidarności”, przedstawiający roczne dziecko stawiające pierwsze kroki, a następnie rekwirują książki nielegalnych wydawnictw, ulotki, gazety.

– Muszę się przebrać – powiedziała po chwili i weszła do sypialni. Z niewiadomej przyczyny włożyła najlepszą suknię, w której nie było jej zbyt ciepło. W przedpokoju opatulila się w kożuch. Jak manekin wyszła z mężczyznami z mieszkania. Powoli zamknęła wszystkie zamki. Klucze schowała do kieszeni, nie wzięła nawet torebki, nie włożyła też zegarka na rękę i pierścionków.

„W więzieniu i tak by mi to odebrali” – pomyślała z rezygnacją.

Winda zjeżdżała powoli z dwunastego piętra, wydając piekielne zgrzyty. Dla niej trwało to całą wieczność. Z ulgą myślała, jak to dobrze, że Zygmunt niewiele opowiedział o nielegalnej siatce. Zastanawiała się, skąd wiedział, że została już zwolniona

z więzienia, w którym była internowana. Wróciła do domu w przeddzień jego wizyty. Nagle doznała olśnienia:

„Boże, przecież to wszystko zostało zainscenizowane przez bezpiekę, a Zygmunt jest ich współpracownikiem.”

Nieraz go o to podejrzewała, ale przypisywała to swojej szpiegomanii, która zaczęła ją gnębić, gdy okazało się, że jeden z wysoko postawionych w solidarnościowej hierarchii działaczy okazał się agentem. Zygmunt czynił na niej wrażenie kaboty. Była aktorką, więc potrafiła odróżnić autentyczne przeżycie od zgrywania się. Od początku ich znajomości z niesmakiem rejestrowała jego wystudiowane uśmiechy, oznaki oburzenia, patriotyczną retorykę i groteskowe przewracanie oczami, gdy udawał kogoś nieskazitelnie uczciwego. A mimo to ucieszyła się, gdy stanął w drzwiach. Odczuwała potrzebę porozmawiania z kimś. Patrzyła na niego, jak zwykle, z przyjemnością. Był taki piękny. Często go obserwowała. Jego twarz przypominała jej portret Pietra Bembo pędzla Rafaela, który widziała w Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie. Te same duże ciemne oczy i ten sam zagadkowy lekki uśmiech, który wiecznie na niej gościł. Mimo spychanych do podświadomości podejrzeń, podkochiwała się w nim, a on nie omieszkiał usiłować ją uwieść. Nie udało mu się chyba tylko dlatego, że był żonaty, a to stanowiło dla niej tabu.

Gdy wyraziła zdziwienie, że przebywa on na wolności, wyjaśnił, iż uniknął internowania dzięki zdolnościom aktorskim. Podczas przesłuchania udawał ciężko załamane i chorego. Gdy usiedli przy kawie, spytał zaczepnie:

– Jakim cudem zwolniono cię już po dwóch miesiącach? Pewno zobowiązałaś się do współpracy.

– Takim samym cudem, jakim ciebie nie internowano – odpowiedziała, oburzona jego posądzeniem. – Po prostu byłam

w ciężkiej depresji. Przez cały czas nie ruszałam się z pryczy, nic nie jadłam, nie odzywałam się do nikogo. Na przesłuchaniach też nie można było wydobyć ze mnie słowa. W końcu podsunęto mi deklarację lojalności, którą bez oporów podpisałam, i oszołomiona znalazłam się za murami więzienia. Nie mam już siły do jakiegokolwiek działania...

– No, rzeczywiście strasznie wyglądasz. Sama skóra i kości – przerwał jej. – Ale widzę, że przeszła ci już ta depresja. To dobrze.

– W domu odżyłam. Rozkoszuję się ciepłem, normalnym mieszkaniem. Nie wyobrażasz sobie, jak tam było zimno i ohydnie – opowiadała, wracając myślami do przeżytego koszmaru. – Nie zdejmowałyśmy zimowych palt, spałyśmy nawet w nich nawet... Umieszczono nas w piwnicy, gdzie cele od lat stały puste, ponieważ nie nadawały się do użytku. Nie było w nich ogrzewania i panował odstręczający brud...

– To bardzo dobrze, że podpisałaś lojalkę – przerwał jej znowu, zacierając dłonie. – Nie będą cię o nic podejrzewać, nie będą nachodzić, przeprowadzać rewizji. Możesz być dla nas bardzo... przydatna.

– Przydatna? – spytała zaskoczona. – W czym? Komu?

Wówczas wyznał jej z wielkim przejęciem, że należy do ścisłego kierownictwa podziemnej organizacji „Solidarności” na Śląsku. Opowiedział tak przekonująco o konspiracji, że w końcu niemal rozwiął jej wątpliwości. Poprosił ją o raport na temat więzienia, w którym była internowana. Pouczył, by pisała przez kalkę i natychmiast niszczyła oryginały, trudniej wówczas rozpoznać maszynę, na której został napisany. Namawiając do konspiracyjnej działalności, zostawił jej na parę dni dokumentację podziemnej organizacji „Solidarności” na

Śląsku, którą przybyły nazajutrz porucznik bezpieczeństwa bez trudu znalazł w jej biurku.

„A więc zwolnili mnie z internowania, bo woleli wsadzić na parę lat do więzienia” – pomyślała z goryczą. – Ależ to kanalia z tego Zygmunta.

Wychodząc przed dom, rozejrzała się dookoła. Puściuteńko. Nikt nie będzie wiedział, co się z nią stało. Wybrali porę, gdy sąsiedzi byli w pracy, a dzieci w przedszkolu lub w szkole. „Podobnie, jak podczas internowania” – pomyślała, wsiadając do samochodu – „z tą różnicą, że wtedy była noc... Wtedy też zdawało mi się, że nigdy już tu nie wrócę, a jednak wróciłam” – zatliła w niej iskra nadziei, która po chwili zgasła. „O nie, tym razem to będzie uwięzienie i potrwa parę lat.”

Jednak porucznik Biedroń miał wobec niej inne plany.

– I po co to pani było? – patrzył z politowaniem, jak po jej policzkach spływają łzy, gdy znaleźli się na komendzie milicji.

Nie była bohaterką, wręcz przeciwnie cechowała ją niezwykła łagodność charakteru i lekliwość. Wstąpiła do „Solidarności” pod wpływem nagłego impulsu, jedynie z pobudek religijnych. Nie zajmowała się polityką. Choć pod wpływem religijnych i nastawionych antykomunistycznie rodziców – repatriantów ze Wschodu już w latach młodości nie mogła pogodzić się z PRL-owskimi realiami, to jednak nigdy nie odważyłaby się nawet powiedzieć czegoś „nieprawomyślnego”, a cóż dopiero krytykować komunistów czy występować przeciwko nim. Nie potrafiła nienawidzić. Wszystkich lubiła, również tych partyjnych nieszczęśników, którzy z merkantylnych pobudek udawali zaangażowanie, szczerze tego systemu nienawidząc, podczas gdy ona w ogóle nie знаła tego uczucia. Uważała, że

chrześcijańska miłość bliźniego nakazuje pozytywny stosunek do partyjnego otoczenia. Nie była w tym rozumowaniu odosobniona. Wielu wstępowało nawet do partii z takim właśnie nastawieniem, tworząc wraz z bezpartyjnymi niewątpliwie pozytywy ówczesnej żalosnej skądinąd rzeczywistości. Kiedyś rozmawiała na ten temat ze znanym kompozytorem, który jako człowiek głęboko religijny zgodził się z nią, że nakaz miłości bliźniego wyklucza wszelką wrogość wobec innych, więc także wobec „towarzyszy”. Wszak Chrystus uczył, że wrogów należy kochać. Przeto darzyła sympatią wszystkich bez wyjątku, a zwłaszcza ludzi z najbliższego otoczenia. Większość potrafiła to docenić, lecz byli i tacy, których irytowała jej bezkonfliktowa postawa. Twierdzili, że się zgrywa. Usiłowali ją nie raz sprowokować do „ukazania prawdziwej twarzy”. Nigdy jednak nikomu nie udało się wytrącić jej z równowagi. Najzłośliwsze nawet docinki pomijała milczeniem lub udawała, że ich nie rozumie.

Zawsze otoczona była koleżankami, przyjaciółmi, znajomymi, którzy równie często jej schlebiali jak i ranili, wszystkiego jej zazdroszcząc. Cierpliwie znosiła docinki, także ze strony najbliższych. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego inni, czując się w gruncie rzeczy gorszymi od niej, już to chociażby ze względu na jej urodę, starają się za wszelką cenę wykazać swą wyższość, raniąc ją niemiłosiernie. Tym bardziej, że nie czuła się kimś szczególnym, bardziej wartościowym od innych i uważała, że ją przeceniają. Nie rozumiała prześladowającej jej zawiści, gdyż uważała ją za bezpodstawną. Wiedziała, że należy bronić się przed takim traktowaniem, lecz nie potrafiła. Bała się, by nie sprawić komuś przykrości, nawet, jeśli zranił ją do głębi. Zamykała się wówczas w sobie i milczała, co prowokowało do eskalacji złośliwości, jako że zadającej ciosy osobie zależało

na wytrąceniu jej z równowagi. Reagowała w końcu łzami, obserwując ze zdumieniem satysfakcję prześladowcy.

Wiązało się to w jakiś sposób z pewnym bolesnym wspomnieniem z dzieciństwa, kiedy to utkwiała jej w pamięci uwaga ojca, że ma ostry języczek i że nikt nie będzie jej lubił, jeśli go nie utemperuje. Oczywiście zależało jej na tym, by być lubianą, lecz o wiele bardziej niż owa pogrożka zabolął ją fakt, że sprawiła ojcu przykrość, co spowodowało, iż ten kochający ją człowiek nieoczekiwanie przemówił do niej tak ostro. Przeto uważała, by nikogo nie zranić nieopatrzonym słowem, pomna, że ma „ostrzy języczek”. Toteż, gdy na przykład jedna z koleżanek, podczas obiadu w teatralnej stołówce, złośliwie zwróciła jej uwagę, że nie powinna nosić spodni, bo wygląda w nich „groteskowo z powodu przesadnie długich nóg”, odpowiedziała spontanicznie:

„Tak, masz rację. Ja natomiast zauważyłam, że tobie w spodniach jest świetnie.”

Dopiero wybuch śmiechu osób siedzących przy ich stoliku uświadomił jej, że owa koleżanka jest otyła i w spodniach wygląda okropnie. „Ona już taka jest” – przekonywali znający ją bliżej twierdzących, że się zgrywa. Nie sposób było jej obrazić, najgorsze przykrości i krzywdy natychmiast wybaczała. Nikomu niczego nie miała za złe. Nigdy nikogo nie krytykowała, brała w obronę, gdy kogoś obmawiano. Zawsze wchodziła w skórę drugiej osoby, charakteryzowała ją niespotykana zdolność empatii i wyrozumiałości wobec bliźnich.

„Napłuj jej w twarz, a ona ci powie, że deszcz pada” – komentowała taką postawę jej matka.

Teresa sama nie mogła pojąć jak doszło do tego, że zaangażowała się w „Solidarność”. W jaki sposób jej, przyzwyczajonej do stanowiącej cechę charakteru uległości, udało się zerwać

zaciśniętą wokół szyi stalową obręcz kłamstwa i strachu. Nie miała przecież żadnych kontaktów z podziemną opozycją czy też nielegalnymi wydawnictwami. Było to tak do niej niepodobne, że niektórzy posądzali ją, iż jest wtyką безпеki.

Zupełnie nie nadawała się do takiej działalności. Od dzieciństwa najlepiej czuła się w samotności, modląc się, wymyślając sobie różne bajeczki, czytając książkę, odrabiając lekcje, ćwicząc na fortepianie lub odgrywając sceny ze spektaklu obejrzanego ostatnio w operze, do której zabierała ją ze sobą sąsiadka, pracująca tam jako garderobiana. Lubiła też rozmyślać podczas samotnych spacerów. Miała zawsze tak wiele spraw do przemyślenia. Najbardziej chyba jednak lubiła ćwiczenia na harfie, stanowiącej jej dodatkowy przedmiot w szkole muzycznej. Było to jedno z najmielszych wspomnień:

Jesienny zmierzch. Pod stopami szeleszczą zbutwiałe liście, a ona spieszy na spotkanie z... harfą. Odbiera na portierni klucz od klasy. Biegnie po schodach. Przekręca klucz w zamku. Zapala światło. I od razu wita się z tym pięknym anielskim instrumentem, delikatnie dotykając strun... Nie przepadała za lekcjami, bo wówczas nie była sama. Nie znosiła występów na popisach, gdyż zżerała ją trema. Ale ćwiczenia w pustej klasie... To było to!

Wszystkie jej przyjemne wspomnienia, związane były z samotnością, co nie znaczy, że nie lubiła bywać w publicznych miejscach. Ale najchętniej sama. Z innymi wiązały się głównie przykre epizody. Zdawało się jej, że uwielbia towarzystwo, spotkania, imprezy czy też plotkowanie przy kawie. A potem nie mogła sobie darować, że w tak idiotyczny sposób marnuje czas, który mogłaby przeznaczyć, na przykład na czytanie lub słuchanie muzyki.

Decyzja o wstąpieniu do „Solidarności” z pewnością związana była z emocjami związanymi z pierwszą papieską pielgrzymką, gdy to za pośrednictwem telewizji uczestniczyła w żarliwej afirmacji Ojca Świętego, okazywanej przez tłumy biorące udział w nabożeństwach odprawianych przez niego pod gołym niebem. Wstrząsnęły nią wówczas słowa papieskich homilii. Słowa wyrwane z głębi jej duszy. Słowa, których nigdy nie śmiałyby na głos wypowiedzieć. To wtedy zatliła w jej sercu iskra, która rozpałała płomień, gdy na Śląsku wybuchła „Solidarność”. Powołała wówczas Zakładowy Komitet Założycielski w katowickim teatrze, w którym wylądowała po ukończeniu krakowskiej szkoły aktorskiej.

Nie mogło już być mowy o samotnym spędzaniu wolnego czasu. Pasjonowały ją wszelkie zebrania. Stanowiły dla niej interesujące spektakle z żywą akcją i barwnymi postaciami. A choć ich scenariusz był podobny, zawsze znajdowała w nich nowe wątki i zaskakujące pointy. Ludzie zdarli z twarzy maski. Po tak wielu latach wymuszonego milczenia wyrażali bez osłonek przemyślenia, dawali upust uczuciom, nieustannie dotąd dławionym. Płacili za to wysoką cenę, bo zło, nienawiść i podstęp też zostały do głosu dopuszczone. Odnosiła nieraz wrażenie, że spłoną w ogniu zwalczających się antagonizmów. Czuła, że tylko inny płomień może wchłonąć ów żar sprzeczności, a mianowicie: wszechogarniający ogień miłości do współbraci, łączący w poczuciu szczęścia, jak w finale dziewiątej Symfonii ze słowami „Ody do Radości” Schillera. Nic nie było w stanie zmienić jej przekonania, że tylko Duch Miłości może „odmienić oblicze tej ziemi”. I dlatego tak dobrze czuła się na zebraniach, gdzie intuicyjnie pokonywano uczucie nienawiści i chęć odwetu, w czym pomagały krucyfiksy na ścianach

sal, w których się odbywały. Nie rozchodzono się do domów, dopóki nie pojawiło się światło wskazujące wyjście z tunelu czarnych namiętności.

Odtąd wszystko potoczyło się jak w somnambulicznym transie. Z wielkim uczuciem deklamowała patriotyczne wiersze, uświetniając zebrania i Msze święte, odprawiane nie tylko w kościołach, lecz i w halach produkcyjnych oraz cechowniach kopalń. Teraz dopiero poczuła się spełniona, gdyż w teatrze nie miała tej możliwości, była słabą aktorką, dawano jej małe rólki.

Zawsze czuła niechęć do polityki i dlatego nie została dziennikarką, jak początkowo zamierzała. Poszła do szkoły aktorskiej, gdyż uwielbiała piękne literackie teksty, zwłaszcza wiersze, które tak wspaniale deklamowała, że w jedenastej klasie zdobyła pierwsze miejsce w konkursie recytatorskim. W dostaniu się na te studia pomogła jej zjawiskowa uroda. Była wysoką, długonogą, niebieskooką blondynką o twarzy madonny. Jednak nie nadawała się do tego zawodu.

„Pani prędeż rozebrałaby się do naga, niż ujawniła cokolwiek ze swego wnętrza” – stwierdził jeden z jej profesorów na pierwszym roku jej studiów.

Jak na piękną aktorkę była paradoksalnie nieśmiała i skromna. Rodzice wpoili jej zasadę: „Siedź w kącie, a znajdą cię.” Nie potrafiła pchać się na afisz i... nie uznawała seksu, co dyskredytowało ją w oczach większości reżyserów, którzy obsadzali główne role swoimi kochankami. Owszem, spotykała się z mężczyznami, czasami była zakochana, nawet całowała się namiętnie, lecz nigdy nie dochodziło do zbliżenia. Wciąż doznawała rozczarowania, to zawsze był „nie ten” i „nie to”. Nie przeszkadzało jej to, że na studiach i również później w teatrze traktowana była z tego powodu jak dziwoląg. Bała się, że gdy

straci cnotę, to będzie puszczać się na prawo i lewo, jak to czyniły jej koleżanki. Wiedziała, że aktorki wciąż narażone są na pokusy, gdyż obracają się w kręgu atrakcyjnych mężczyzn. W konsekwencji jako dwudziestoosmioletnia kobieta wciąż jeszcze była dziewicą. Czekwała na wielką miłość. Wynikało to w dużej mierze, choć nie tylko, z jej głębokiej i głęboko skrywanej religijności. Nikomu z jej przyjaciół nie przyszłoby do głowy, że chodzi ona do kościoła i co dzień żarliwie się modli.

Porucznik ubzdurał sobie, że Teresa jako aktorka idealnie nadaje się na wtykę w podziemnej siatce „Solidarności”. Widział, jak bardzo przeraziło ją jego najście, nie usiłował więc jeszcze bardziej jej straszyć i grozić, tak jak to czynił w więzieniu, w którym była internowana. Zatem od razu przystąpił do rzeczy:

– Pani zdaje sobie sprawę, co pani grozi za tę... dokumentację podziemnej siatki – rzekł spokojnym tonem. – Ale... może pani kontynuować te kontakty – uśmiechnął się zagadkowo i zawiesił głos, a ona spojrzała na niego zdumiona:

– Ależ ja nie mam takich zamiarów – zaprzeczyła gwałtownie.

– Niestety, będzie pani musiała, oczywiście pod moim nadzorem – dokończył przerwane zdanie. – Musi pani wciągnąć się w tę działalność, jeśli chce pani pozostać na wolności, w co nie wątpię.

– Nie nadaję się do tego – zaoponowała zdecydowanie.

– Aresztowaliśmy wprowadzić szefa siatki, lecz on ma dwu zastępców. Ta siatka jest... bardzo rozbudowana – ciągnął dalej, nie reagując na jej uwagę. – Musi nam pani pomóc w jej rozbięciu. Teresie zrobiło się gorąco, fala krwi uderzyła jej do głowy.

– Co to znaczy? Co miałabym robić? – spytała cichutko, niemal szeptem, bo głos uwiązał jej w zaschniętym gardle.

– Przysyłać nam podpisane pseudonimem raporty – powiedział bez ogródek, pewny wygranej. – Dokładne informacje, nazwiska itp. Poinstruję panią przy następnym spotkaniu. Dzisiaj musi pani tylko podpisać zobowiązanie.

– Oni nie mają do mnie zaufania – mówiła gorączkowo – może mi pan wierzyć, nic z tego nie wyjdzie. Niczego się nie dowiem. Ja tam nikogo nie znam... Nie, nie. Naprawdę nie mogę. To jest niemożliwe...

– Pani chyba żartuje. Nie ma pani innego wyjścia – przerwał jej porucznik, podsuwając kartkę papieru i długopis. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, jej spanikowane myśli goniły jak w diabelskim młynie.

– No, co jest? – krzyknął zdenerwowany porucznik. – Na co pani czeka?... Szybciej – dodał łagodniejszym tonem.. Proszę podpisać i wróci pani do domu. W przeciwnym razie znajdzie się pani w areszcie, wytoczymy pani sprawę udziału w podziemnej działalności, a za to czeka panią dobrych parę latek.

Skóra ścierpła na niej z przerażenia. Znowu miałyby znaleźć się w więzieniu? Ledwo cudem wydostała się z niego, gdy bliska już była zupełnego wycieńczenia. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl:

„Podpiszę, ale ucieknę za granicę i tyle będą mnie widzieli.” Drżącą ręką podpisała zobowiązanie, nawet go nie czytając.

– I jeszcze jedno – rzekł na pożegnanie porucznik ostrym tonem – nie wolno Pani nikomu nic powiedzieć o naszej rozmowie, nawet rodzicom.

Jadąc tramwajem do domu, czuła jak ogarnia ją rozpacz. „Co ja najlepszego zrobiłam?” – myśli kłębiły się w niej jak szalone,

serce waliło w piersi młotem. „Co ze mną teraz będzie? Przecież oni mnie nie wypuszczą. Nie dadzą mi paszportu i zamkną w więzieniu, jeśli nie zrobię, co mi każą.”

W zamyśleniu przejechała swój przystanek. Zorientowała się dopiero na chorzowskim rynku, wobec czego postanowiła pojechać do Bytomia, do rodziców. Gdy matka otworzyła jej drzwi, rzuciła się jej w objęcia i rozpłakała się.

– Uspokój się córciu – pogładziła ją po głowie matka. – Wejdz, rozbierz się. Zaraz ci odsmażę ruskie pierogi z obiadu. Z pokoju dziennego wyszedł na jej powitanie ojciec.

– Czemu płaczesz? – spytał z przestraszoną miną. – Stało się coś złego? Przecież cię w końcu wypuścili.

– Och, tatusiu – teraz z kolei jemu rzuciła się na szyję.

– Wejdz do pokoju i siadaj – uwolnił się z jej objęć. – No mów wreszcie, co się stało?

Usiadła obok niego na wersalce.

– Nic nie mogę powiedzieć – rzekła drżącym głosem, wycierając palcami spływające po policzkach łzy.

– Jak to? Nam nie możesz powiedzieć? – zdenerwował się.

– Zabronili mi – westchnęła ciężko. – Naprawdę nie wiem, co teraz będzie.

– Jakoś to będzie – uspokoiła ją matka, wchodząc do pokoju i kładąc na stole talerz z pierogami – No jedz. Usiadła naprzeciw niej.

– Najważniejsze, że jesteś na wolności – uspakajała ją. – Wiesz co, ja tak sobie myślę, że powinnaś pójść do lekarza, żeby ci zapisał jakieś tabletki. Przecież ty jesteś wykończona nerwowo.

– Mamusiu, ja zażywam tabletki, ale... teraz to już nic mi nie pomoże... Strasznie się do mnie przyczepili – mówiła mię-

dzy jednym a drugim kęsem. Rodzice siedzieli w milczeniu ze smutnymi minami, czekając aż ona skończy jeść.

– Boże, zrobiło się ciemno – złąkla się nagle. – Muszę wracać do domu. Boję się chodzić wieczorami, bo ktoś mógłby na mnie napaść.

– No jak to, nic nam nie powiesz? Nie powiesz, co się stało? – mówili na przemian rodzice.

– Naprawdę nie mogę. Zabronili mi. Strasznie się ich boję. Muszę już iść. Bardzo dziękuję za pierogi. Były pyszne – mówiła szybko jednym tchem.

– Poczekaj, dam ci parę gołąbków, to sobie jutro odgrzejesz – rzekła matka z rezygnacją w głosie.

Wyszli oboje z nią z pokoju. Ojciec patrzył na nią w milczeniu z zatroskaną miną, a matka udała się do kuchni. Teresa włożyła kożuch i czapkę, a kiedy matka wróciła z gołąbkami, pożegnała się z nimi i szybko zbiegła po schodach.

W drodze powrotnej usiłowała ułożyć jakiś plan dalszego działania, lecz nic nie była w stanie wymyślić. Tym razem uważała już, by wysiąść przy żyrafie. Szła przez Osiedle Tyśiąclecia w kierunku swego bloku ze spuszczoną głową, posępna, pełna mrocznych myśli. Poszła okrężną drogą, weszła do bloku drzwiami z odwrotnej strony, nie pojechała windą, zdjęła botki i trzymając je w ręku, bezgłośnie wchodziła na ósme piętro.

„Boże kochany, ja chyba całkiem zwariowałam” – pomyślała pod swoimi drzwiami. Po wejściu do mieszkania powoli zaczęła zdejmować botki, rękawiczki, czapkę, szalik a na końcu dopiero kożuch, nie zważając na to, że cała jest zlaną potem, gdyż kaloryfery grzały jak szalone, a nie znano w PRL-u czegoś takiego jak regulator dopływu ciepła.

Weszła do pokoju dziennego, podeszła do barku, wlała sporo koniaku do kieliszka, usiadła na wersalce i pogrążyła się w ponurych myślach.

„Co ja najlepszego zrobiłam” – kiwała głową. „Nawet, jeśli mi dadzą paszport, bo w końcu generał Jaruzelski zagwarantował to internowanym, to, co ja tam będę robiła. Znam wprawdzie niezły język, ale nigdy go nie opanuję tak, by grać w teatrze...” Jednak po pewnym czasie, pod wpływem koniaku poprawił się jej nastrój.

„Mój Boże” – machnęła ręką – „na aktorstwie świat się nie kończy. Przecież tutaj też tak naprawdę nie jestem aktorką. Nie mam talentu... Co mnie tu czeka? Granie ogonów i życie w nędzy. Tylko jak to zrobić, żeby porucznik nie dowiedział się, że staram się o paszport. Przecież oni chodzą za mną krok w krok. A teraz tym bardziej będą mnie pilnowali. Jeszcze jak porucznik zacznie mnie ‘instruować’ i zlecać jakieś zadania” – załamała ręce.

– Nie, ja chyba zwariuję! – krzyknęła na głos. Zerwała się na równe nogi i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Podeszła do biurka i przez jakiś czas grzebała wśród papierów.

– Jest! – wykrzyknęła z ulgą. – Jak to dobrze, że go nie wyrzuciłam.

Znalazła zaproszenie od przyjaciółki, Ślązaczki mieszkającej w Niemczech Zachodnich. Pomyślała, że łatwiej będzie oszukać porucznika, że jedzie tylko na krótkie odwiedziny i skusić go raportem o stosunku Niemców do „Solidarności” niż starać się o emigrację. Przypomniała sobie, jak znalazła kiedyś w dzieciństwie w papierach rodziców, jakiś dziwny pożółkły dokument w niezrozumiałym języku. Gdy spytała matkę, co to takiego, ta strasznie się zdenerwowała i uderzyła ją w twarz.

– Kto ci pozwolił grzebać w dokumentach? – krzyknęła. Ale widząc, jak ona płacze – zmiętygowała się, pogładziła ją po głowie i powiedziała:

– No, nie płacz. To jest kościelna metryka tatusia w języku niemieckim. Tam jest wpisana cała jego rodzina, od jego pradziadka i prababki. To byli Niemcy. Przyjechali z Bawarii i osiedlili się w niemieckiej kolonii na Wschodzie. Pamiętaj, żebyś się nigdy nie wygadała, bo to niebezpieczne.

– Przyrzekam, że nikomu nic nie powiem – zapewniła, połykając łzy.

„To będzie moje wybawienie” – pomyślała. „Kiedy będę tam u Renaty, dostanę na podstawie tej metryki niemieckie papiery i wtedy pan porucznik będzie mógł pocałować mnie w nos.

Z Renatą przyjaźniła się od najmłodszych lat, kiedy to mieszkały w sąsiedztwie i wspólnie bawiły się na podwórku. Później siedziały w jednej ławce od pierwszej klasy szkoły podstawowej aż do matury. Ich drogi rozeszły się, gdy jej przyjaciółka wyjechała na studia do Gliwic, ona natomiast do Krakowa. Ślązaczka skończyła wydział górniczy na politechnice, ale po kilku latach wyjechała do Niemiec, żeby połączyć się z rodzicami, którzy opuścili Polskę tuż przed jej maturą. Czuła się wówczas Polką i za nic nie chciała opuszczać ojczyzny. Jednak po kilku latach pracy w kopalni zmieniła zdanie.

Dziwna to była przyjaźń, gdyż trudno byłoby znaleźć dwie bardziej różniące się osobowości. Pozbawiona zdolności językowych Renata brylowała w matematyce, natomiast Teresa miała talent w kierunkach humanistycznych. Poza tym Ślązaczka nie grzeszyła urodą, była szara od stóp do głów, począwszy od mysich włosów a skończywszy na ubiorze. Na dodatek miała zeza. Teresa była wiecznie uśmiechnięta, życzliwa, uprzejma

i uczynna, natomiast jej ponura jak chmura gradowa przyjaciółka opryskliwa i zawistna. Nikt jej nie lubił. Ona jedna rozumiała, że wynika to z zakompleksienia dziewczyny i wybaczała jej wszelkie złośliwości. Renata zazdrościła Teresie wszystkiego, nienawidziła jej, lecz równocześnie podziwiała i na swój sposób kochała. Jej stosunek do ślicznej dziewczyny stanowił kliniczny przykład resentymetu. Za wszelką cenę starała się udowodnić, że jest od Teresy mądrzejsza, pracowitsza, odpowiedzialniejsza. Traktowała ją z wyższością i lekceważąco, na co ta godziła się bez sprzeciwu, korzystając z jej pomocy w rozwiązywaniu zadań matematycznych, sprawiając jej satysfakcję. Lubiała ją mimo wszystko, brała poprawkę na nieprzyjemne cechy jej charakteru, gdyż była z nią od dziecka serdecznie związana. Po jej wyjeździe do Niemiec utrzymywała z nią korespondencję, nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, by starać się o paszport na odwiedzin. A tym bardziej w czasie zaangażowania w „Solidarność”, gdy otrzymała zaproszenie od przyjaciółki. Teraz jednak spadło jej jak z nieba. Znała trochę język niemiecki, dzięki prywatnym lekcjom u młodego Niemca, który po śmierci rodziców przybył z Berlina Wschodniego do babki zamieszkałej w Bytomiu. Ojciec Teresy zauważył kiedyś na słupie jego ofertę i natychmiast zdecydował, że powinna ona znać język sąsiadów. Miałaby chyba szansę na dobre opanowanie tego języka, gdyby młodzieniec ów nie napisał do niej miłosnego listu, w nieświadomości, że ojciec jej zna trochę niemiecki. Nie zdążyła się zatem zbyt wiele nauczyć, gdyż rodzice, w trosce o jej cnotę, natychmiast zabronili jej dalszej nauki.

ROZDZIAŁ 2

Nazajutrz po otrzymaniu paszportu Teresa obudziła się z uczuciem radości i natychmiast zapragnęła obejrzeć go na nowo. Wybiegła z łóżka do przedpokoju, sięgnęła po leżącą na szafce torebkę, otworzyła ją i... zdrętwiała. Paszport znikł. Mogłaby pomyśleć, że ktoś wyjął jej go z torebki w tramwaju, kiedy wracała z Biura Paszportowego, gdyby nie fakt, iż leżąc już w łóżku oglądała go po raz któryś z radosnym niedowierzaniem. Po czym włożyła z powrotem do torebki i odniosła ją na jej stałe miejsce na szafce w przedpokoju.

Usiadła zrozpaczona na łóżku. Wiedziała, że jest to zemsta porucznika Biedronia, z którym już więcej się nie spotkała, tłumacząc się leczeniem u psychiatry, którego zaświadczenie wysłała mu pocztą.

Po solidnym wyplakaniu się, co zawsze przynosiło jej ulgę, postanowiła nie dawać za wygraną. Zjadła obfite śniadanie, ładnie się ubrała i zrobiła staranny makijaż. Była gotowa do walki o odzyskanie paszportu. Najpierw udała się do swej przebojowej przyjaciółki Agnieszki, mieszkającej w tym samym bloku, by naradzić się, co dalej robić. Nie zdradziła jej oczywiście, że zamierza pozostać w Niemczech. W czasach „Solidarności” nie utrzymywała z nią kontaktów, gdyż ta niezbyt przychylnym okiem patrzyła na „wywrotową” działalność Teresy, ale stan

wojenny przestoczył ją w sympatyka Związku. Zdecydowały, że trzeba porozmawiać z porucznikiem Biedroniem. Agnieszka też nie wątpiła, że to jego sprawka. A wiedziała coś na ten temat. Opowiedziała Teresie, że jeden z jej znajomych, który był oficerem bezpieki, założył się z nią kiedyś, że bez najmniejszych trudności wejdzie do jej mieszkania podczas jej nieobecności. Po dwóch dniach po powrocie do domu znalazła na stole pozostawioną przez niego wizytówkę. Powiedziała, że zaświadczy, zgodnie z prawdą, iż poprzedniego dnia wieczorem oglądała u Teresy jej paszport.

Wpadły na Komendę niczym dwie furie, żądając na portierni natychmiastowego widzenia z porucznikiem Biedroniem. Pojawił się od razu, jakby już na nie czekał. Zabrał Teresę ze sobą do biura. Agnieszka została w hallu. Nie zgodził się, żeby poszła z nimi.

– Koniec zabawy w kotka i myszkę, panie poruczniku!
– krzyknęła już od drzwi pustego pokoju do zdumionego przemianą, jaka w niej zaszła. Znał ją jako osobę łagodną, rozmawiającą z nim spokojnie.

– Proszę mi natychmiast oddać paszport, bo pójde do pułkownika Chudego!

– Niechże się pani uspokoi... Może zechce mi pani spokojnie wytłumaczyć, o co chodzi. Nic nie wiem o żadnym paszporcie.

– Nie, nie. Tak nie będziemy rozmawiali. Chciałam odwiedzić koleżankę w Niemczech i potem opisać Panu stosunek Niemców do „Solidarności”, ale jak miałam Panu o tym powiedzieć, skoro rozchorowałam się psychicznie. Proszę mi natychmiast zwrócić paszport! W przeciwnym razie pójde do pułkownika Chudego na skargę!

– Proszę bardzo, droga wolna – zaśmiał się ironicznie.

Komendant Główny MO, pułkownik Chudy przyjął ją niewzłocznie, uprzedzony zapewne przez porucznika. Przywitał się jak z dobrą znajomą, choć widziała go po raz pierwszy w życiu. Opowiedziała spokojnie o zniknięciu paszportu z jej mieszkania i zażądała jego zwrotu.

– Czy pani wierzy w duchy? – krzyknął z udanym oburzeniem.

– Właśnie dlatego, że nie wierzę, przyszedłam po mój paszport do pana – odpowiedziała znów spokojnie i dodała z naciskiem:

– Żądam zwrotu paszportu! Pułkownik zorientował się, że ona nie zamierza pertraktować z nim w tej sprawie:

– Proszę złożyć w Biurze Paszportowym meldunek o zgubieniu...

– O czym? – przerwała mu, po raz pierwszy podnosząc głos.

– To znaczy o... zaginięciu paszportu – poprawił się pułkownik, orientując się, że dyskusja z nią nie ma sensu

– Uprzedzę kierownika wydziału, by panią przyjął bez kolejki. Nic więcej nie mogę zrobić w tej sprawie – dodał żegnając się, by nie tracić czasu.

Poszła, więc z Agnieszką do Biura Paszportowego, gdzie spokojnie usiadły przy stoliku, a Teresa napisała meldunek o zniknięciu paszportu w nocy z jej mieszkania, podając jako świadka koleżankę, która oglądała go u niej w domu poprzedniego wieczoru. Tymczasem przerwano przyjmowanie interesantów. Poinformowały czekających w kolejce, że to z jej powodu i opowiedziały, jak ją potraktowała bezpieka.

Niebawem wyszedł sam kierownik wydziału i poprosił ją do środka. Po przeczytaniu podania wpadł w furję. Pułkownik Chudy polecił mu widocznie, by potraktował ją obsesowo.

– Cóż to za bzdury wymyśliła pani z tym zniknięciem paszportu z mieszkania? – krzyknął rozwścieczony. – Jeśli nie przyzna się pani do zgubienia, to w ogóle nie przyjmę podania o nowy paszport...

– Po prostu musicie mi oddać ten, który zabraliście z mojego mieszkania – odparła spokojnie.

– Z takim podaniem niech pani idzie do psychiatry! Ja tego nie przyjmę. Niech pani lepiej dobrze poszuka w domu i nie zawraca mi głowy!

Wiedziała, że jeśli przyzna się do zgubienia paszportu, to na nowy będzie musiała długo czekać, w zupełności zdana na łaskę bezpieki. Odprawiona z kwitkiem pożegnała się z Agnieszką zamierzającą wrócić na osiedle. Powiedziała jej, że ma jeszcze coś do załatwienia na mieście. Odniosła wrażenie, że jednak nastraszyły ich nieco. Trzeba więc było kontynuować działanie w tym kierunku i uderzyć też z innej strony. Zdając sobie sprawę, że jest śledzona, udała się do Kurii Biskupiej, ponieważ to biskup pomógł jej w wydostaniu się z więzienia. Przyjął ją młody, sympatyczny ksiądz sekretarz biskupa. Gdy mu opowiedziała, co się jej przydarzyło, zaczął ją pocieszać:

– Proszę się niczym nie przejmować. Jestem przekonany, że za parę dni znajdzie pani paszport w swoim mieszkaniu. Wróci w ten sam sposób, w jaki zniknął...

– Faktycznie! – krzyknęła olśniona trafnością takiego rozumowania – przecież kierownik biura poradził mi, bym go dobrze poszukała w domu.

– To mądrze, że nadała pani tej sprawie tak wiele rozgłosu. Oni liczyli, że pani się przestraszy i będzie milczała.

Wróciła do domu podniesiona na duchu, jednak świadomość, że w nocy, kiedy śpi, ktoś wchodzi do jej mieszkania,

była dla niej nie do zniesienia. Za poradą jednego ze znajomych zaczęła, co noc stawiać na krześle przy drzwiach wejściowych wiadro pełne wody. Gdy powiedziała o tym Agnieszce, ta pokręciła głową z dezaprobatą:

– Nie możesz tego robić, skoro chcesz, żeby ci paszport z powrotem podrzuciono.

– Przecież mogą przyjść w dzień, gdy nie ma mnie w domu – odpowiedziała z przekonaniem.

– W dzień mógłby ktoś zauważyć, ktoś mógłby nadejść niespodzianie... Zresztą, powiedz mi, kiedy ty w ogóle wychodzisz z domu... I na jak długo? Nie, oni tego w dzień nie zrobią – stwierdziła autorytatywnie.

Przyznała jej rację i tego wieczoru nie postawiła wiadra pod drzwiami. Leżąc w łóżku modliła się w myślach o odzyskanie paszportu. Przekonana była, że długo nie będzie mogła usnąć, gdyż odwiedziła ją kuzynka, z którą wypila mocną kawę.

Nagle do jej uszu doszło skrzypnięcie drzwi wahadłowych znajdujących się w korytarzu tuż przy ścianie, przy której spała. Nie usłyszała jednak kroków, nie był to więc żaden z sąsiadów, wracający do domu. Zamarła w oczekiwaniu. Nasłuchiwała z zapartym tchem i... obudziła się nazajutrz z uczuciem, że jest już bardzo późno. Poczowała się świetnie wyspana. Była w doskonałym nastroju.

„Jak to możliwe” – pomyślała – „że usnęłam tak nagle, a przy tym w momencie ogromnego napięcia, że spałam tak twardo i długo?”

Wtem przysła jej do głowy pewna myśl. Wstała i boso podbiegła do biurka, znajdującego się w drugim pokoju. Nerwowo otworzyła szufladę, w której trzymała dokumenty. Szybko przejrzała jej zawartość. Na samym dnie leżał paszport.

Natychmiast poszła do Agnieszki, by podziękować jej za pomoc. Obiecała przywieźć jej jakiś ciuch z Niemiec. Obie doszły do wniosku, że ów nocny gość odurzył ją przez szczeliny w drzwiach wejściowych jakimś gazem, gdy nasłuchiwała po skrzypnięciu drzwi na korytarzu.

Od tej pory nie rozstawała się z paszportem. Do chwili wyjazdu nosiła go w torebce, którą trzymała zawsze przy sobie, nawet w nocy – w łóżku pod poduszką. Z wdzięczności za jego odzyskanie i ze strachu, żeby coś jeszcze nie przeszkodziło jej w uwolnieniu się od bezpieki, pojechała na Jasną Górę, by podziękować Matce Boskiej Częstochowskiej i pożegnać się z Nią.

Spacerując wokół klasztoru chłonięła atmosferę historycznych wydarzeń z XVII wieku, przywołującą duchy rycerzy i zakonników, opisanych w „Potopie”. Oczami wyobraźni widziała ich wśród ogromnych wiekowych drzew, które opowiadały o tamtych wydarzeniach szumem ogołoconych z liści gałęzi. Słyszała wręcz tumult szwedzkich rycerzy, okrzyki i jęki spadających rannych, rozdzierająco przeszywające otaczającą ją, przejmującą ciszę.

W sanktuarium Czarnej Madonny uczestniczyła w Eucharystii, chłonąc wzrokiem ikonę, tak dobrze znaną i bliską jej sercu. Ściśnięta w tłumie, modliła się wraz z innymi za internowanych i wszystkich prześladowanych przez reżim. Myślała o wciąż jeszcze uwięzionych kolegach i koleżankach, nie pając nad spływającymi po policzkach łzami. Gdy wpatrywała się w cudowny obraz, o władnęła nią ta sama wiara, która podtrzymywała ją na duchu w ciężkich chwilach oczekiwania na zalegalizowanie „Solidarności”, kiedy to tuż przed wyznaczonym przez Sąd Najwyższy w Warszawie terminem rozpatrzenia wniosku o rejestrację Związku, w jej parafii Świętych

Jana i Pawła w Katowicach-Dębie odprawiono Mszę świętą w intencji rejestracji, zamówioną przez załogę huty „Baildon”. Były to czasy przełamywania bariery strachu, gdy samo słowo „prawda” pobudzało serca do żywszego bicia. Ksiądz biskup sufragan Janusz Zimniak w swej wzruszającej homilii powiedział wówczas między innymi:

„Królestwo prawdy i życia, królestwo świętości i łaski, królestwo sprawiedliwości, królestwo miłości i pokoju, królestwo Boże jest nie z tego świata. Ale tutaj, teraz na ziemi, musimy zdążyć do niego z całą mocą swej woli i oddania, jeżeli chcemy je osiągnąć. Naród polski zna wartość życia, gdyż przeszedł ucisk i niejedną tragedię. Całym swym istnieniem wołał: „My chcemy żyć”. Dążył do w pełni człowieczej egzystencji, do wolności. Te nasze odwieczne piękne cele przyświecały polskim robotnikom w sierpniu i wrześnie. Karmieni zbyt długo półprawdami, domagali się prawdy...

„Prawdy, prawdy, prawdy!” – powtarzała w myśli tak samo jak wtedy, a łzy spływały jej po policzkach. Znowu wierzyła w cud, że „Solidarność” kiedyś ożyje i zwycięży, a ona powróci do ojczyzny.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1	5
Rozdział 2	21
Rozdział 3	29
Rozdział 4	47
Rozdział 5	75
Rozdział 6	95
Rozdział 7	103
Rozdział 8	109
Rozdział 9	123
Rozdział 10	133
Rozdział 11.	141
Rozdział 12.	151